

O granicach, dyskryminacji i imporcie

Autor: **Leszek Rydzak**

Praca nagrodzona drugim miejscem w konkursie na esej o protekcjonizmie

Niedawno dokonywałem zmiany starego samochodu na nowy. Najpierw sprzedałem stary, a potem kupiłem nowy. Ten stary właściwie był tylko starszy od nowego, a ten nowy wcale nie był nowy, tylko od niego nowszy. Szczególnie ważne okazało się jednak dla mnie kupno tego nowszego. Ponieważ rzadko dokonuję aktów wymiany na duże kwoty, a ten konkretny rozciągnął się trochę w czasie i jakby niechcący nieco przedłużające się skupienie myśli na tej transakcji zaowocowało refleksją. Taką refleksją, która w ciągu mikrosekund przewróci świat do góry nogami. Nie była to refleksja dokonywana standardowo w takich przypadkach, która dotyczy samego przedmiotu wymiany, czyli tego, czy zakupiony samochód spełni moje oczekiwania, czy przypadkiem nie przepłaciłem, czy zostałem przez poprzedniego właściciela odpowiednio poinformowany o stanie tego auta, a więc czy przypadkiem nie zostałem oszukany przez sprzedającego. Bo wiadomo, że jeśli chodzi o samochody — obowiązuje zasada: widziały gały, co brały.

Refleksje pojawiają się w wyobraźni i wprowadzie własną wyobraźnię jesteśmy w stanie uruchomić samodzielnie, ale w tym wypadku stało się inaczej. Po prostu ruszyła bez kontroli i już. Pojawiła mi się przed oczami wizja nowego podziału administracyjnego Polski. Wiadomo, że jest Ona podzielona na województwa, powiaty i gminy. Każde województwo, powiat i gmina ma własne terytorium, symbole i inne tego typu rzeczy. W każdym współczesnym państwie w mniejszym lub większym stopniu obowiązuje zasada, że co wolno wojewodzie, to nie tobie... szary człowieku i od zawsze gmina musi się liczyć z powiatem, powiat z województwem, a województwo ze stolicą. Te relacje we współczesnej Polsce są dwustronne, bo stolica jednak liczy się z zarządzającymi województwami, a ci z gospodarzami powiatów i gmin. Widzimy, że stolica sprawuje funkcję kierowniczą i to kierowanie szczebelek po szczebelku schodzi na dół i od dołu w postaci reakcji wraca do stolicy. To kierowanie nie oznacza władzy absolutnej, nie może polegać ono na wywieraniu nadmiernego nacisku, gdyż istnieje taki typ reakcji, którą nazywamy buntem i w razie buntu może się

okazać, że już nie ma kim albo czym kierować. Czy tego chcemy, czy nie, warunkiem koniecznym bycia kierownikiem jest bycie w relacji z podwładnym. Kierownik jest kierownikiem wtedy i tylko wtedy, gdy ma podwładnego. To kierownik zależy od podwładnego, a nie odwrotnie. To ciekawe, że jeszcze w XXI wieku nie wszyscy zdają sobie sprawę z tego, że to nie podwładny ma dbać o kierownika, a odwrotnie — kierownik o podwładnego. I wielkim doświadczeniem, płynącym z historii ludzkości jest to, że największą efektywność mają te relacje, gdy opierają się na dobrowolności. Nad tym faktem nie ma co się rozwodzić i nawet nie ma co tego dowodzić. Każdy podręcznik dotyczący kierowania można by zamknąć jedną zasadą: z niewolnika nie ma pracownika. Potęgi budują ludzie wolni, a nie niewolnicy. A parę współczesnych kolosów zbudowały nawet grupy biedoty i wyrzutków, jak miało to miejsce w USA, czy w Australii, którą zbudowali brytyjscy przestępcy. No tak, ale historia, ta największa nauczycielka ludzi ma to do siebie, że jeszcze nigdy nikogo i niczego nie nauczyła.

Ale wróćmy do mojego wyobrażenia. Moja wizja na gminie się nie skończyła. Gminy składają się bowiem z działek, które mają konkretnych właścicieli, a które również stanowią terytorium. Gmina mi się jeszcze podzieliła na takie terytorium, którego nazwa brzmi: JA i na wielką, ale skończoną liczbę terytoriów ON_n , ONA_n lub ONI_n , gdzie n oznacza liczbę terytoriów. Przy tej okazji zdałem sobie sprawę z tego, jak bardzo moja wyobraźnia jest niedoskonała, straszliwie wąska. Nie potrafiła sobie wyobrazić, że na świecie już przecież nie istnieje ON i ONA. No cóż, przepraszam, nie miałem przecież wtedy nad nią kontroli, ale obiecuję poprawę.

Spróbujmy wyobrazić sobie taki świat, w którym każdy, kto posiada jakieś terytorium, które z kolei posiada granice — ma nad tym terytorium jakąś, niekoniecznie nieograniczoną władzę.

W moim wyobrażeniu zaszło jeszcze jedno dziwne zjawisko. Moja transakcja kupna samochodu przedstawiła mi się na takiej dziwnej mapie administracyjnej z przyporządkowaną jej bardzo dziwną nazwą, a mianowicie: import. Gdy już z przelatującej refleksji się ocknąłem, nie potrafiłem i nie potrafię do dzisiaj znaleźć żadnego argumentu żeby stwierdzić, że moje wyobrażenie było głupie. Jeżeli import, to sprowadzenie czegoś z granicy, to znaczy, że JA od jakiegoś ON-ileśtam zaimportowałem samochód. Przecież sprowadziłem go z granicy, oczywiście granicy mojej działki. Kiedyś stał za granicą, a teraz stoi w

granicach mojego królestwa. To również oznacza, że parę tygodni wcześniej nieco inny i starszy samochód wyeksportowałem. Mało tego. Okazało się, że zwykła podróż samochodem, to także podróż za granicę. I tylko pozornie jest to podróż bez paszportu. Żeby wyjechać, muszę mieć taki paszport w postaci dowodu rejestracyjnego i ubezpieczenia. Uświadomiłem sobie przy tym, że niestety nie mam pełni władzy w swoim królestwie. Nie przypominam sobie, abym jako król wydał dekret o konieczności posiadania paszportów, a muszę taki rodzaj paszportu posiadać, aby poruszać się samochodem nawet po własnym terytorium.

Jeśli więc zajmuję się pracą zawodową i sprzedaję moją pracę za pieniądze, to oznacza to, że dokonuję eksportu pracy, a idąc do piekarni po chleb – importuję go. Będąc eksporterem i importerem, a przy tym królem, zacząłem być z siebie dumny. Na szczęście jednak nie popadłem w pychę, która rodzi ślepotę, bo pewnie w takim przypadku nie dostrzegłbym w mojej wizji tego, że mój import musiał być poprzedzony eksportem. Przecież nie pójdę do żadnego marketu na zakupy zanim nie zdobędę na nie pieniędzy swoją pracą. Nie będę „popytem”, zanim wcześniej nie byłem „podażą”. Czyżby podaż była pierwotna względem popytu, a w konsekwencji eksport względem importu? Jak to możliwe, skoro w każdej prawie gazecie mądrzy profesorowie twierdzą, że gospodarka jest popytowa i to popyt ją kreuje? Z tej analogii pomiędzy podażą i eksportem oraz popytem i importem wynika jeszcze jedno. Jeśli moim celem było kupno nowego samochodu, a środkiem do tego sprzedaż starszego, to moim celem był import, a eksport, to tylko środek. Dysonans, w który popadłem okazał się szczęściem i nieszczęściem w jednym, bo wprowadził spowodował, że wyrwałem się ze szponów mojej refleksji, która w tym momencie stała się już niebezpieczna, ale jednocześnie okazało się, że wszystko to za późno. Stało się, a co się stało, to się nie odstanie. Przemiany odwracalne istnieją tylko w teorii.

Tak więc stało się, zło się dokonało i zostałem zarażony pewnego rodzaju infekcją, na którą cierpię do dziś. Zacząłem mianowicie sprawdzać, czy to, co mówią profesorowie z autorytetem jest aby na pewno prawdziwe. Rozmawiałem nawet na temat mojej nowej choroby z moim lekarzem i na moje nieszczęście stwierdził on, że na taką przypadłość niestety nie ma lekarstwa. I tak choruję i sprawdzam do dzisiaj. Na przykład ostatnio usłyszałem od jednego profesora, że inflacja jest „dobra”, a deflacja „groźna” i że trzeba koniecznie ją zwalczać. Na

tym tle moja choroba znów się ujawniła i od tego momentu właściwie cały czas chodzę spocony. To nieustanne moje pocenie się jest znakiem, że choroba przeszła z fazy fizjologicznie bezobjawowej w objawową. No i znowu mam dysonans, bo to przecież w warunkach deflacji mogę sobie coraz więcej kupić za tę samą kwotę. To dzięki deflacji mam coraz więcej, nawet tylko leżąc na kanapie i dłubiąc w nosie. Staram się jednak nie poddawać chorobie, walczę z nią ile mam sił i próbuję dalej sobie wmawiać, że jeśli od lat zarabiam ciągle tyle samo, to inflacja jest dla mnie mimo wszystko dobra, choć dzięki niej mogę sobie coraz mniej za mój stały zarobek kupić. No tak, ale przecież pan profesor nie mówił, że inflacja jest dobra dla mnie, tylko dla gospodarki. Skoro ona jest dobra dla gospodarki, a nie dla mnie, to znaczy, że ja muszę myśleć i działać według innych zasad niż cała gospodarka. No i jak tu się nie spocić, skoro żąda się ode mnie wiary w to, że ekonomią w skali makro rządzą zupełnie inne prawa niż w skali mikro.

Wróćmy jednak do importu. Z ust jakiegoś innego profesora usłyszałem mianowicie, że import jest zły, a oczywiście najlepszy jest eksport. Zło importu polega na samej jego istocie. Na tym, że zamiast „coś” produkować na swoim terenie, kupujemy to „coś” za granicą. Bo to przecież jasne, że żeby „coś” produkować, potrzebne jest „miejsce pracy” i stąd import zabiera „miejsca pracy”. Import powoduje, że zamiast utrzymywać miejsca pracy u siebie, utrzymujemy je u naszego bliźszego lub dalszego sąsiada. No i w ogóle powinniśmy ograniczać import za pomocą ceł. To wystarczyło, aby choroba się znów ujawniła. Znów ruszyła wyobraźnia. Znów bez kontroli. No i się zaczęło... Narzędziem do przeciwdziałania importowi są cła. Mogę je wprowadzić tylko tam, gdzie mam władzę. No to wprowadzam. Najpierw w Polsce. Wyobraźmy sobie, że polskie władze wprowadzają cło. Logiczne chyba, że to dobre, bo ograniczają a *de facto* zakazują one sprowadzania do Polski dóbr od sąsiadów, aby ochronić „miejsca pracy” w Polsce. Gdy przejdziemy na poziom granic województwa, cło staje się już trochę mniej logiczne. Na poziomie powiatu, a szczególnie gminy brak logiki staje się już bardziej widoczny, a na poziomie relacji JA-ON/ONA/ONI staje się absurdem. Na tym poziomie cło wprowadzam JA. Cło bowiem oznacza w tym wypadku to, że nakładam je sam na siebie, abym mógł kupować drożej u sąsiada. Przy tym dla sąsiada jest to obojętne, bo ON dostanie za swój produkt tyle samo, ile dostałby, gdyby cło nie istniało. Bo cło zapłacę JA. Sam sobie. Na

szczęście na poziomie JA, to ja dysponuję wpływami z ceł, więc ich istnienie jest dla mnie obojętne. A może jest ono obojętne w ogóle? Na poziomie państwa cło nie jest dla mnie już obojętne, bo to nie JA dysponuję wpływami z ceł, a państwo. I nie jest to dla mnie dobre, bo płacąc cło, mam mniej pieniędzy. Ale posiada je państwo, a ono — jak mówił inny profesor — działa dla wspólnego dobra, w tym również i mojego. No więc sprawdźmy, czy to państwo działa na rzecz naszego dobra. Ono za te pieniądze na przykład buduje drogi, lotniska, czy stadiony. Może to i dobrze, bo dzięki tym drogom, mogę sprawniej zaimportować mój nowszy samochód. Ale nie należy nie dostrzegać, w jaki sposób ono to robi. Drogę, której nie było, a teraz jest, trzeba odśnieżać i remontować. Droga, której nie było, to nowy koszt, którego nie było, a teraz jest. Jeżeli budowa drogi została jeszcze nawet tylko częściowo sfinansowana długiem, to obsługa długu jest też kosztem, którego nie było, a teraz jest. W taki oto sposób koszty, których nie było, a się pojawiły generują potrzebę wprowadzenia nowych ceł. Ponieważ państwa są zmuszone ponieść ciężar nowych kosztów, to są zmuszone poszukać kogoś, komu by tu jeszcze ochronić jego „miejsce pracy”. Na siłę. Takie: nie „chcem”, ale „muszem”.

Nie należy nie dostrzegać jeszcze innego aspektu spraw, związanych z cłami. Importować można, gdy się chce albo się musi. Muszę importować, gdy nie jestem w stanie czegoś wyprodukować u siebie nie dlatego, że nie chcę, a dlatego, że nie umiem. Ostatnio czytałem na przykład, że nie jesteśmy w stanie w Polsce wyprodukować podwozia do jakiejś haubicy i zrobią to dla nas Koreańczycy. Tak samo jak pojedynczy ludzie nie umieją robić wszystkiego, tak całe społeczeństwa nie umieją produkować wszystkiego. Nikt nie jest samowystarczalny, samowystarczalne nie są gminy, powiaty, województwa, czy państwa i takie jest prawo przyrody, że z tego powodu musimy wejść w relację z drugim człowiekiem, czy grupą ludzi. To się nawet opłaca i to nie tylko dlatego, że dzięki takiej współpracy mogę mieć coś, czego nie jestem w stanie wytworzyć sobie sam. Wiemy to choćby od takiego Ricardo, który jeszcze do tego udowodnił, że oprócz tego, że na takiej współpracy korzystam zarówno ja, jak i ten drugi, to bardziej na tej relacji korzysta biedniejszy z nas. Natura wspomaga biedniejszego. Bogacimy się obydwaj, ale biedniejszy z nas bogaci się w szybszym tempie. Z samego tylko podjęcia współpracy są więc korzyści, a do

tego dochodzi jeszcze zjawisko synergii, które w świecie przyrody jest czymś powszechnym... Straszliwie to wszystko skomplikowane.

Importować można również chcieć. Chcę importu, gdy mimo tego, że importowany towar produkuję na swoim terenie, wolę go kupić u sąsiada. A wolę go kupić u sąsiada, bo taniej. Oczywiście taniej przy takim samym poziomie jakościowym towaru. Zaprzestaną go wtedy sam produkować. Oddam to w ręce sąsiada. On to robi widocznie lepiej niż ja. Jednocześnie zostaną zmuszony do nauczenia się robienia czegoś innego, co będę robił nie tylko najlepiej jak potrafię, ale też najlepiej w gminie, powiecie, województwie.... Bo aby móc importować — muszę eksportować.

Jeżeli więc importuję, bo muszę, to cła w takim przypadku nie chronią żadnych moich „miejsc pracy”, bo ich po prostu nie ma. Są więc one dla mnie nie tylko niekorzystne, ale też niepotrzebne. Wydaje się więc, że tylko cła na towary, które mogę sobie wytworzyć sam, mają jakiś sens. Czy tak jest naprawdę? Najpierw sprawdźmy na poziomie JA. Jeżeli JA stosuję wysokie stawki celne na usługi malarskie i zamiast kupić taką usługę malowania mojego domu u jakiegoś ON, pomaluję mój dom sam, to powstrzymując się od współpracy z ON będę miał niewątpliwą korzyść w postaci zaoszczędzonych w ten sposób środków. Takie cło jest obojętne dla całej gospodarki, bo wprawdzie ON-malarz nie zarobi, ale zarobią inni ONI, bo nadwyżkę z mojej pracy będę mógł przeznaczyć na co chcę. Bardzo ważne jest też to, że robię w takim przypadku to, co chcę, czyli jestem wolny. Chcę tych ceł, chcę malować, bo chcę mieć nadwyżkę. A gdy schowam moją nadwyżkę do skarpety i tym samym wycofując ją poza obieg — wywołam deflację — zarobią na niej wszyscy. Efektem ubocznym jest to, że mimo wysokich w JA stawek celnych na usługi malarskie, wpływy z tego cła są zerowe. Wynoszą zero, bo nie dokonałem importu usług malarskich. Czy takie korzyści wystąpią na szczeblu gmin, powiatów, czy państw? Wyobraźmy sobie, że każde z państw zastosuje taką strategię celną. Polska nałoży na przykład cło na chińskie rowery, bo przecież możemy i produkujemy je sami, a Chińczycy nałożą cło na coraz lepiej sprzedającą się na tamtejszym rynku polską żywność, bo przecież mogą ją sobie wyprodukować sami. Polacy przestaną kupować chińskie rowery, a Chińczycy — polską żywność.

Wymiana na linii Polska—Chiny ulegnie zahamowaniu, do budżetów obu państw wpłyną albo i nie wpłyną cła, bo wymiana ulegnie zahamowaniu, a

obywatele tych państw zapłacą wyższe ceny, wynikające z istnienia ochrony celnej wymienianych towarów. Funkcją cła jest jedno: zahamowanie wymiany.

W tym momencie moja wyobraźnia kieruje moje myśli jeszcze głębiej. A gdyby tak zaaplikować takie cła, które całkowicie zahamują wymianę rowerów i żywności na linii Polska—Chiny, to czy wpływy z takich wysokich ceł byłyby zerowe? Jeśli takie wysokie cło zaaplikowano, więc ono istnieje, ale jeśli całkowicie hamuje ono wymianę, to czy wpływy z jego tytułu, przy całkowicie zahamowanej wymianie wynoszą zero? Czy aby na pewno? Wprowadzie w takiej sytuacji wpływy z tytułu cła do budżetów państw wynoszą zero, ale czy one rzeczywiście wynoszą zero? Nie, wpłyną one do polskich producentów rowerów i chińskich producentów żywności. Może i polskie rowery są lepsze od chińskich, bo są lżejsze, mają amortyzatory, czy więcej przerzutek, ale Polacy nie chcą tych amortyzatorów i aż tylu przerzutek, bo gdyby nie cło — kupowaliby chińskie rowery. To one były im potrzebne bardziej niż polskie. Producenci rowerów dostaną cło w nagrodę za to, że nie potrafią dla Polaków wyprodukować rowerów takich, jakich oni potrzebują, za niekompetencję. Przy tej okazji można dostrzec, że cło na rowery można nałożyć pośrednio, nakładając je na cokolwiek: stal, gumę, czy aluminium, które są niezbędne do ich produkcji. Cokolwiek, bo produkcja, to nieustanne grzebanie w Ziemi. Nawet najbardziej skomplikowane produkty, takie jak laptop, czy komórka zostały wygrzebane z Ziemi. Cło nałożone na jakiś produkt wygrzebany z Ziemi trafia do wszystkich producentów, którzy te produkty przetwarzają. Jeżeli zostanie ono nałożone na rowery, zapłacą je miłośnicy rowerów, jeżeli zostanie nałożone na rudę żelaza, zapłacą je nawet smakosze herbaty, do której przyrządzenia niezbędny jest stalowy czajnik.

Gdyby ludzie kupowali to, co chcą, bez cła, to uzyskaliby nadwyżki, które mogliby skierować na utworzenie nowych „miejsc pracy”. A tak, wobec braku nadwyżek, te nowe miejsca pracy nie powstaną. Zyskają więc państwa i rodzimi producenci rowerów oraz chińscy producenci żywności, ale tracą obywatele Polski i Chin. Przy czym warto zwrócić uwagę, że zyski państw z nałożonych ceł, w związku z zahamowaniem wymiany mogą być tylko iluzoryczne, a straty obywateli są pewne. Do tego warto zauważyć, że rządy chiński i polski mogą jedynie nałożyć cła na swoich obywateli oraz to, że rząd Polski wprowadzając cło uprzywilejowuje polskiego producenta rowerów i jednocześnie dyskryminuje chińskiego, a rząd chiński robi to samo na rynku żywnościowym. Oczywiście rząd

Polski widzi tylko belkę dyskryminacji w cudzym oku, a nie widzi jej w swoim. Czyżby dyskryminacja była takim działaniem, które automatycznie uprzywilejowuje resztę, a uprzywilejowanie oznacza automatyczną dyskryminację reszty? I na koniec bardzo poważny skutek ceł: już nie mogę robić tego, co bym chciał, czyli kupić taniego chińskiego roweru. Jestem zmuszony do kupna polskiego roweru, a tym, co mnie zmusza, jest właśnie cło. Czyżby cła zniewalały ludzi? Przepraszam, ale znów muszę obetrzeć pot ze skroni...

Mój samochód zaimportowałem, bo uważałem i uważam, że leży to w moim interesie. Przypuszczam, że poprzedni właściciel wyeksportował go, bo uważał, że taki jest jego interes. Korzyści z importu i eksportu mają importer i eksporter. Jeżeli moim celem jest import, a eksport tylko środkiem do tego celu, to nakładając cła na import — nakładam je sam na siebie i nie działam we własnym interesie. I jeżeli cła, spływające do budżetów państw są używane do tworzenia nowego kapitału tych państw, który nie daje zwrotu (niektóre stadiony, drogi, lotniska), a który z kolei trzeba odtwarzać, co generuje dług i nowe koszty, to państwa muszą wymyślać nowe cła i chronić jakieś inne „miejsca pracy”, bez zastanawiania się już nad tym, czy ta ochrona ma sens. Bez względu na wszystko, potrzebne są wtedy nowe cła, aby obsłużyć nowe koszty. Te państwa przypominają człowieka, który siedzi na wózku, znajdującym się na równi pochyłej, na dole której czeka katastrofa. Jeżeli przy tym przez wprowadzanie nowych ceł zniewalają one ludzi, to po pierwsze muszę być Matce Naturze wdzięczny za tę katastrofę, bo ona przywróci mi wolność. Tylko po co przywracać tę wolność za pomocą katastrof? A po drugie wszyscy musimy sobie zdać sprawę z tego, że potrzebujemy nieustannego samoograniczenia się wszystkich rządów: państw, województw, powiatów, gmin i również nas, królów naszych działek. I to dotyczy nie tylko ceł. Czy to tak trudno zrozumieć?